

*Zygmunt Popiel*

## **WRZESIEŃ 1939 r – TRWIERDZA BRZESKA SPOTKANIE DWÓCH AGRESORÓW**

(Fragment wspomnień)

Do września 1939 roku byłem mieszkańcem Twierdzy brzeskiej. Pierwszego września wybuchła wojna. Następnego dnia, tj. 2 września rozpoczęła się, zgodnie z zarządzeniem Dowódcy DOK IX, gen. bryg. Franciszka Kleeberga ewakuacja rodzin żołnierzy zawodowych, mieszkających w Twierdzy. Punktami docelowymi ewakuacji były wytypowane osady i majątki położone w odległości 20–50 kilometrów od Brześcia.

Nasza rodzina; mama, starsza siostra Maria oraz ja zostaliśmy przewiezieni w rejon miejscowości Kodeń, po lewej stronie rzeki Bug, do osady Kolonia Zabłocie. Zakwaterowano nas, jak pamiętam u gospodarza, który kilka miesięcy przed wojną wykończył swój nowy dom. Nasz pobyt na wsi, trwający kilka dni, wypełniony był obserwacją życia i pracy rolników. Różniło się ono znacznie od tego, które znaleźliśmy z okresu pobytu w Twierdzy. Tok dnia, upływający w spokojnej, wiejskiej atmosferze, regulowany był codziennymi czynnościami, związanymi z obrządkiem zwierząt; – karmieniem, dojeniem krów, pracami w polu i obejściu.

Ta pozorna sielanka, przerywana

była kilkakrotnie przelotami niemieckich samolotów, które lecąc na dużej wysokości pozostawiały długo widoczny na niebie ślad w postaci smug. Jedynie raz zdarzył się przelot nisko lecącego samolotu. Był to prawdopodobnie samolot obserwacyjny. Wyraźnie widoczne były twarze jego załogi. W godzinach nocnych widzieliśmy dalekie łuny pożarów, wzniecane, jak mówiono przez dzieńne bombardowania niemieckiego lotnictwa. Był to istotny, namacalny dowód, że trwała wojna.

Po kilku dniach pobytu na wsi, niespodziewanie, w godzinach wieczornych zjawił się nasz ojciec. Był 10 września. Zaskoczył nas zupełnie, gdyż od marca 1939 roku przebywał poza Twierdzą. Z jego relacji wynikało, że przebywał na zachodniej granicy w rejonie m. Koronowej, koło Bydgoszczy.

Wróciliśmy z ojcem przez Chotyłów, Terespol do Twierdzy na Wyspę Lotniczą. Znajdował się tam parterowy budynek zbudowany w roku 1937, z przeznaczeniem na kwatery dla kadry zawodowej. Jedno z czterech mieszkań, jako mieszkanie służbowe zajmowali rodzice. Budynek położony był około

200 metrów od traktu prowadzącego z Wyspy Centralnej przez Bramę Saperską do Terespoła. W odległości około 70 metrów od budynku znajdowała się potężna bryła fragmentu fortyfikacji, zwana przez nas „prochownią”.

Po powrocie do domu nasza mama przystąpiła do codziennych zajęć. Trwało to zaledwie trzy dni. 13 września zostaliśmy zobowiązani do natychmiastowego opuszczenia mieszkania i udania się do schronu.

Schron zlokalizowany był w wałach oddzielających Wyspę Lotniczą wzdłuż brzegu starego koryta rzeki Bug, za którym były już zabudowania Terespoła. Obiekt nazywany „schronem” w rzeczywistości okazał się stajnią dla koni, którą przystosowano dla potrzeb ochrony ludzi. Jego czołową, frontową ścianę stanowiła drewniana konstrukcja z grubych bali. Całość przykryta była grubą warstwą ziemi. Od strony zewnętrznej nie mogła zapewnić pełnego bezpieczeństwa przed odłamkami rozrywających się pocisków.

Jak wynikało z informacji, powodem udania się do schronów były ustalenia władz wojskowych, iż na północ od Brześcia pojawiły się niemieckie czołgi. Obecnie wiemy, że były to czołgi jednostek XIX Korpusu Pancernego Wehrmachtu, gen. Heinza Guderiana.

Faktem jest, że już 14 września

1939 r, w godzinach popołudniowych, mieszkańcy Twierdzy brzeskiej znaleźli się pod ostrzałem niemieckiej artylerii. Na podstawie dostępnych obecnie dokumentów wynika, że stanowiska ogniowe znajdowały się w rejonie wsi Rzezyca, skąd prowadzono systematyczny ogień na Twierdzą. Ostrzał artylerii w dniach oblężenia przerwano 15 oraz 16 września kilkakrotnie. Przerwy były bardzo krótkie. Prawdopodobnie w tym czasie Niemcy podejmowali kolejne próby szturmów, skutecznie odpięane przez obrońców. Wielokrotnie, w trakcie oblężenia przeżywalibyśmy tzw. „nawały ogniowe”.

Po trzech dniach, w związku z wyczerpywaniem się zapasów amunicji, zwiększających się strat wśród obrońców, ogólnej, beznadziejnej sytuacji, dowodzący obroną gen. bryg. Konstanty Plisowski, po naradzie z oficerami swojego sztabu, 16 września podejmuje decyzję zaniechania walki i wyjścia z Twierdzy. Jediną drogą wycofania się był trakt prowadzący z Wyspy Centralnej przez Bramę Saperską, Wyspę Lotniczą, w kierunku Terespoła, bez konieczności wchodzenia między jego zabudowania, częściowo obsadzone już przez patrole wojsk niemieckich. Po przekroczeniu starego koryta rzeki Bug, należało kierować się na południe, wzdłuż lewego brzegu, w stronę miejscowości Kodeń. W godzinach

popołudniowych nastąpiło wycofanie się zorganizowanych grup żołnierzy. Trwało ono do późnych godzin nocnych i obfitowało w wiele dramatycznych momentów.

placu, u podnóża wału, gdzie zlokalizowany był schron. Na całym terenie widać było liczne, niezbyt głębokie leje po wybuchach pocisków. Charakterystyczne, co do



*Brama Terespolska Twierdzy Brzeskiej. Stan obecny*

*Fot. Janusz Szuba*

Nadszedł świt, 17 września. Kiedy zaczęło świtać, bardziej odważni zaczęli opuszczać miejsce schronienia. W schronie przebywała razem z nami grupa pracowników budowlanych. W większości pochodzili oni z terenów Pomorza. Kilku z nich, jak się później okazało, znało język niemiecki.

Po wyjściu ze schronu wszyscy zaczęli grupować się na niewielkim

dzisiaj utrwaliło się w mojej pamięci, że wokół leżały liczne pociski, które nie wybuchły. Podczas gdy pozostający do tej pory w schronie opuszczali miejsce ukrycia, w odległości około 50 metrów od naszej grupy, na wałach ukazała się grupa około dwudziestu żołnierzy niemieckich. Schodzili z góry w szyku rozwiniętym, trzymając broń gotową do strzału. Prowadzący ich ofi-

cer z pistoletem w rękę wykrzykiwał jakieś komendy. Kilku żołnierzy doszło do naszej grupy. Z zachowania się Niemców można było wywnioskować, że są nastawieni bardzo agresywnie. Dwóch żołnierzy zbliżyło się do wejścia schronu, który opuściliśmy przed kilkunastoma minutami, z zamiarem wrzucenia do środka granatu. Zapamiętałem, że granat miał charakterystyczny wygląd; – miał drewnianą rękojeść o długości około 30 centymetrów.

Szczęśliwie, w tym momencie ktoś z grupy robotników budowlanych przemówił po niemiecku. Ten moment, oraz słowa naszego współtowarzysza zdecydowały, że żołnierze zrezygnowali z wrzucenia granatu do wnętrza schronu.

Ku zaskoczeniu wszystkich zebranych, w otworze wejściowym ukazała się młoda kobieta, trzymająca na rękę małe dziecko. Drugie szło obok, trzymane za rączkę. Była to, jak się okazało, jedna z ostatnich matek, która w czasie, gdy wszyscy opuścili miejsce schronienia, jeszcze w nim pozostała.

Po udzieleniu Niemcom odpowiedzi na pytania, oraz wyjaśnieniu przez jednego z naszych robotników budowlanych, kim jesteśmy, żołnierze zaczęli zachowywać się spokojnie – nie okazywali już agresji. W trakcie krótkiej rozmowy z robotnikami, powiedzieli, że przed kwadransem sforsowali na

gumowych łódkach rzekę (stare koryto Bugu), weszli na wały i zaskoczeni trafili na naszą grupę.

Byli to pierwsi żołnierze niemieccy, którzy wkroczyli do opuszczonej kilkanaście godzin wcześniej przez polskich żołnierzy, Twierdzy brzeskiej.

Po pewnym czasie uzyskaliśmy zgodę niemieckiego dowódcy na rozejście się. Mama zdecydowała o powrocie do opuszczonego przed czterema dniami mieszkania. Było ono, jak już wspominałem położone w odległości około 400- 500 metrów.

Nie zatrzymywani przez nikogo, szliśmy drogą szutrową, biegnącą wzdłuż wałów. Nawierzchnia drogi w wielu miejscach podziurawiona była lejami po wybuchach pocisków. Przed naszymi oczami ukazał się przerażający widok. Wysokie topole, rosnące wzdłuż drogi były połamane, niektóre powalone. Konary obcięte, jak można było przypuszczać, przez odłamki. Wszystko to pomieszane było ze szczątkami wozów taborowych. Wśród tego kłębowiska zwiędniętego listowia, konarów, różnego sprzętu wojskowego oraz rozbitych wozów, leżały liczne, martwe konie. Ich rozdęte brzuchy, oraz sterzące na boki i ku górze nogi, ciała zastygłe w nienaturalnych pozycjach agonii przedstawiały makabryczny widok. Była to prawdopodobnie pozostałość po taborze jakiejś, polskiej jednostki.

Jej miejsce postoju zostało wybrane z uwagi na rosnące drzewa oraz liczne krzewy, stanowiące doskonałe miejsce ukrycia. Zamaskowany tabor, wyśledzony przez obserwatora artylerii został zniszczony.

Doszliśmy do naszego mieszkania. Poza wybitymi szybami nie widać było zniszczeń. W pobliżu kręcili się polscy żołnierze. Byli bez pasów. Widać było też mundury żołnierzy niemieckich. Okazało się, że w sąsiadującej z naszym blokiem „prochowni” zorganizowany został w dniach oblężenia punkt medyczny. Byliśmy świadkami ewakuacji rannych oraz zmarłych z podziemnych lochów. Zwłoki były składane w wykopanym uprzednio przez sanitariuszy dole. Pamiętam, że w dole były one obsypywane białym proszkiem, prawdopodobnie wapnem. Następnie zmarłych, których o ile dobrze pamiętam było siedmiu, przykryto prześcieradłem. W czasie gdy jedna grupa sanitariuszy zajmowała się zmarłymi, druga wynosiła na noszach z podziemia „prochowni” rannych. Nosze były ustawiane na trawniku, przy ogrodzeniu naszego ogródka. W pobliżu stał samochód sanitarny, z którego niemieccy sanitariusze wyjmowali jakieś skrzynki. Za chwilę kierującą akcją lekarz – oficer, ubrał się w biały fartuch i przystąpił w asyście swoich żołnierzy – sanitariuszy do opatrywania rannych. Wszystkie zabiegi były wykonywane pod go-

łym niebem. Niemieckie sanitarki oraz samochody ciężarowe zabrały wszystkich rannych, oraz polskich sanitariuszy, których, jak przypuszczam, przewieziono do Wojskowego Szpitala Okręgowego nr 9 na Wyspie Szpitalnej. Zwłoki żołnierzy przykryte prześcieradłami zostały. Zabrano je następnego dnia. Opisane wyżej zdarzenia miały miejsce 17 września, w godzinach południowych.

Po okropnościach ostatnich dni oblężenia w Twierdzy zapanował spokój, przerywany jedynie nagłym pojawianiem się niemieckich patroli, które wpadały przeprowadzając lustrację pomieszczeń oraz najbliższego otoczenia. Po powrocie ze schronu do naszego mieszkania, podejmowaliśmy z siostrą próby odszukania ojca. Z ustaleń wynikało, że w okresie oblężenia przebywał ze swoją kolumną transportową na terenie Twierdzy. Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, że 16 września zdołał w późnych godzinach wieczornych wycofać się w kierunku Kodenia. Sądząc, że w czasie oblężenia mógł zostać ranny, próbowaliśmy dostać się do szpitala na Wyspie Szpitalnej. Niestety, nasze poszukiwania musieliśmy zakończyć na moście przy Bramie Saperskiej. Wartownik niemiecki stojący przy moście nie przepuścił nas. Musieliśmy wrócić do domu.

W czasie kolejnej wędrówki, 22

września, dotarliśmy do traktu terepolskiego – do miejsca, gdzie zlokalizowane były niektóre magazyny saperские. Tam poza innymi zabudowaniami stały wokół dużego placu drewniane baraki. Teren ogrodzony był płotem z drutu kolczastego. Szliśmy z siostrą wzdłuż ogrodzenia. W pewnym momencie znaleźliśmy się na wysokości dużego placu. Ku naszemu zaskoczeniu zobaczyliśmy dziesiątki polskich żołnierzy. Okazało się, że dotarliśmy do zorganizowanego przez Niemców na terenie Twierdzy, etapowego, zbiorczego obozu jeńców. Ochronę obozu stanowili żołnierze Wehrmachtu. Jeden z wartowników stał na dachu baraku, drugi przy bramie ogrodzenia. W pewnym momencie zza drutów dobiegło nas wołanie: „Marysiu, Marysiu, pozwólcie bliżej dzieci?”. Okazało się, że wołał nas pan porucznik Mieczysław Norbert Stankiewicz, nasz sąsiad, podobnie jak ojciec, żołnierz 6 batalionu saperów. Zbliżenie się do drutów wymagało zgody wartownika stojącego przy bramie. Ten dał przyzwolenie. Podeszliśmy. Wówczas porucznik Stankiewicz zwrócił się do nas z prośbą o przyniesienie czegoś do picia. Mimo, iż był to koniec września, było bardzo gorąco. Ludzie przebywający za drutami przeżywali katusze z powodu pragnienia. Natychmiast pobiegliśmy do domu, gdzie mama w błyskawicznym tempie przygotowała dwa,

kilkulitrowe naczynia kompotu. Wróciliśmy ponownie pod druty. Okazało się, że w czasie naszej nieobecności nastąpiły zauważalne zmiany. Na dachu baraku nie było już wartownika. Żołnierz stojący przy bramie był inaczej ubrany. Do dzisiaj pamiętam szczegóły jego, odmiennego umundurowania. Miał na sobie długi, nie obrębiony u dołu płaszcz w kolorze brązowożółtoszarym. Płaszcz sprawiał wrażenie postrzępionego. Wartownik trzymał długi karabin, do którego lufy przytwierdzony był bagnet w charakterystycznym kształcie szpikulca o znacznej długości. Uzupełnieniem stroju żołnierza była czapka z czubkiem oraz daszkiem z identycznego materiału. Nad daszkiem przyszyta była duża, czerwona gwiazda.

Prawdopodobnie ten strój nie utrwaliłby się tak głęboko w mojej pamięci, gdyby nie zdarzenie, które nastąpiło kiedy doszliśmy do ogrodzenia. Niosąc dwie bańki kompotu zbliżyliśmy się do drutów. Wtedy usłyszeliśmy potworny ryk: „Dawaj nazad”. Zobaczyliśmy skierowany w naszą stronę karabin, z tym charakterystycznym, długim bagnetem. Prerażeni, wycofujemy się. Kompotu, oczywiście już nie przekazaliśmy. Tak wyglądał nasz pierwszy kontakt z przybyłym ze wschodu żołnierzem sowieckim. Miało to miejsce 22 września 1939 roku.

Fakt zmiany wartowników pilnujących wziętych do niewoli przez

Niemców żołnierzy był dla nas, w tym czasie dużym zaskoczeniem. Dzisiaj, na podstawie dostępnych dokumentów dotyczących opisywanych faktów i zdarzeń wiemy, że wszyscy zgrupowani w punkcie zbornym jeńcy, zostali przez Niemców przekazani stronie sowieckiej. Poczynając od ostatnich dni września, po dokonaniu selekcji zaczęto wywozić więzionych żołnierzy do łagrów, w głąb Związku Radzieckiego.

Z informacji naocznych świadków wynikało, że 2 października 1939 roku prowadzono pod konwojem dwie kolumny polskich żołnierzy zawodowych. Kolumny maszerowały ulicą Kasztanową z Twierdzy, najkrótszą trasą, w kierunku rampy kolejowej przy dworcu (w sąsiedztwie ulicy Sadowej), gdzie przygotowany był już skład odkrytych wagonów towarowych.

Prawdopodobnie wówczas, między innymi został wywieziony nasz sąsiad, pan porucznik Mieczysław Stankiewicz. Z późniejszych ustaleń wynikało, że dostał się do obozu w Kozielsku, skąd w marcu lub kwietniu 1940 roku trafił do miejsca kaźni w Lesie Katyńskim.

Na drugi kontakt z przedstawicielami armii sowieckiej nie czekał długo. Kilka kwadransów po opisanym zdarzeniu, przepędzeni przez sowieckiego wartownika, ponownie znaleźliśmy się z siostrą w okolicy traktu terespolskiego.

Szosa, w kierunku Terespoła, z głośnym chrzęstem gaśnienic jechały trzy sowieckie czołgi. W wieżyczkach czołgów siedzieli wychyleni do połowy członkowie załóg. Przejżdżając obok stojących na poboczu grupek niemieckich żołnierzy, machali rękoma, wymieniając wzajemne, przyjazne gesty przywitania. W pewnym momencie czołgi zatrzymały się. Wysiedli z nich pancerniaczy, stanowiący załogi stalowych kolosów. Porównywałem z nimi znane mi polskie czołgi stacjonujące w okresie przedwojennym w Twierdzy, na Wyspie Centralnej, obok bramy gospodarczej 6 batalionu saperów. Te były naprawdę olbrzymie. Staliśmy bardzo blisko od miejsca, gdzie niemieccy żołnierze wymieniali wzajemne serdeczności ze swoimi, sowieckimi sojusznikami. Częstowali się papierosami. Jeden z Niemców w tym czasie wykonywał pamiątkowe zdjęcia.

Moją uwagę zwrócił strój sowieckich pancerniaków. Ubrani byli w ciemne kombinezony które, co było bardzo dobrze widoczne, oblepione były smarami. Na głowach mieli charakterystyczne hełmofony, kształtem przypominające „pilotki”, z przebiegającymi wzdłuż, od czoła do tyłu głowy grubymi „wałkami”. Na tle swoich sojuszników, Niemców, prezentowali się niezbyt okazale.

Byli to przedstawiciele 29 Bry-

gady Pancernej, dowodzonej przez kombryga Siemiona Kriwoszeina. Brygada jako pierwsza sowiecka jednostka, po zdradzieckiej napaści 17 września 1939 roku na Polskę, dotarła 22 września do Brześcia. Sowieckie czołgi, po krótkiej przerwie, wymianie serdeczności przez żołnierzy obydwu stron, ruszyły z jazgotem gąsienic w kierunku Terespoła. Spieszyły im się, podobnie jak w roku 1920 „na Arszawu”.

Dzień ten zapisał się jeszcze wspólną defiladą z udziałem jednostek obydwu agresorów.

Wróciliśmy z siostrą do domu, przekazując naszej mamie relacje o wszystkim, co widzieliśmy. Przygnębienie zaczęło ogarniać wszystkich. Zdawaliśmy sobie sprawę, że są to nasze ostatnie dni pobytu w Twierdzy. Nie wiedzieliśmy jeszcze, co czeka nas w przyszłości.

Autor wspomnień dziękuje wszystkim, byłym mieszkańcom

Niżej podaję adres i telefon:

tel. (0-22) 624-76-42

Brześcia, Twierdzy. Szczególne słowa podziękowania kieruję ku starszej siostrze Marii, za przypomnienie wielu zdarzeń, faktów, które pozwoliły przedstawić chociaż częściowy obraz wrześniowych dni 1939 roku.

Zdając sobie sprawę z niedoskonałości zapisu w przedstawionych wspomnieniach, co wynika z przeszło sześćdziesięcioletniego upływu czasu, uprzejmie proszę o krytyczne uwagi, ewentualne uzupełnienia, podanie nieznanych faktów, nawet marginalnych, fragmentarycznych informacji. Każdy, najdrobniejszy szczegół, informacja, uzupełnienie, pozwoli na przedstawienie pełniejszego, w miarę wiernego obrazu.

Jednocześnie zwracam się do Koleżanek i Kolegów, byłych mieszkańców miasta Brześć n. B. oraz Twierdzy brzeskiej o nawiązanie kontaktu.

dr Zygmunt POPIEL  
ul. Ogrodowa 32 m. 50  
00 896 Warszawa